

Kiedy w 1900 r. 23-letni syn hazzana symferopolskiego Jakow Kefeli zdał egzaminy wieńczące czwarty rok studiów w Cesarskiej Akademii Medycznej Wojskowej w Petersburgu, otrzymane z góry czteromiesięczne stypendium postanowił przeznaczyć na pierwszy w życiu wyjazd za granicę. Cel podróży dla spragnionego wiedzy młodzieńca wydawał się oczywisty – Paryż u szczytu sławy, goszczący właśnie wystawę światową. Jakow jechał tam przez wiele krajów i wieloma pociągami – zaczął od wagonów czwartej klasy, lecz dzięki korzystnemu przypadkowi do samej stolicy Francji dotarł z fasonem, jako pasażer pierwszej klasy. Nie mógł przewidzieć, że po latach, jako rosyjskiemu lekarzowi wojskowemu, przyjdzie mu się schronić przed bolszewikami właśnie w Paryżu (podobnie jak około 300 innym Karaimom z Krymu) i że mieszane uczucia, jakie wzbudziło w nim to miasto, towarzyszyć mu będą do końca życia. Wspomnienia z podróży, tutaj publikowane zaledwie we fragmentach, spisywał już jako 70-letni paryżanin, który jednak nic nie utracił z młodzieńczej oryginalności spojrzenia na świat.



Doktor nauk medycznych, czynny radca stanu
JAKOW KEFELI

W Paryżu w 1900 roku

Wspomnienia rosyjskiego studenta

3. W STOLICY ŚWIATA

Pod koniec XIX wieku Paryż nie tylko pełnił funkcję stolicy Francji, ale przez wszystkie narody był postrzegany jako stolica świata. Stąd wypływały i rozprzestrzeniały się na świat fale idei społeczno-politycznych i ożywionego życia parlamentarnego. Był to potężny ośrodek nauki, z którego geniusz Pasteura promieniował jasnym światłem na cały glob. Pięknem swego burzliwego i wesołego życia Paryż przyciągał kręgi kulturalne i burżuazyjne, śmietankę narodów i państw, zwłaszcza na czas kolejnych wystaw światowych, do stóp swego serca – wieży Eiffla.

Także i my z Kadką (Arkadym Rapaportem, kolegą z czasów gimnazjum – przyp. red.), przy całej naszej młodej naturze, czuliśmy, że oto dotarliśmy do stolicy współczesnej ludzkości. Było to również widoczne wśród naszych towarzyszy podróży, pasażerów zatłoczonych wagonów pociągu, którzy ciągnęli tu ze wszystkich krajów Europy i Azji.

Znowu mamy szczęście

Jeszcze przede mną przyjechał do Paryża Wołodia Kuliczenko, mój kolega ze studiów w Akademii, z którym obaj z Kadką chodziliśmy do jednej klasy w gimnazjum. Znałem jego adres, rzuciliśmy się na jego poszukiwanie i bardzo szybko znaleźliśmy go w Dzielnicy Łacińskiej w taniutkim hotelu. Na parterze znajdowała się duża sala, z której niósł się gęsty zapach wina, po brzegi wypchana plebejuszami i robotnikami. My o niej powiedzielibyśmy „karczma”, ale po francusku nazywano ją „bistro”.

Wysoki, gruby Francuz o czerwonej twarzy, w obszernym skórzanym fartuchu, stał za ladą obitą cynkiem i nalewał wino dla tłoczącej się na lewo i na prawo klienteli. Na pytanie Kadki: „Czy tu zatrzymał się pan Kuliczenko z Rosji?”, właściciel rozpłynął się w uśmiechach i skierował nas na mieszkalne piętra swojego hotelu, położone nad karczmą.

Wołodia był u siebie i bardzo się ucieszył na nasz widok. Skończyły mu się pieniądze i zamierzał wyjechać w ciągu najbliższych dni, ale mimo to poszedł nas zakwaterować w swoim hotelu. Też słusznego wzrostu i równie gruby jak właściciel przybytku, już zdążył się z nim zaprzyjaźnić. Od razu dostaliśmy pokój, do którego zaprowadzili nas dwaj przyjaciele, przeczucując się żartami.

Jednak, niestety, cóż to był za pokój! Ze ścian zwisały płacami postrzępione tapety, sufit był brudny, podłogi niemyte. Ponieważ był to jedyny wolny pokój, zdecydowaliśmy się go wziąć, zwłaszcza że w innych hotelach Paryża, ze względu na ogromne zainteresowanie wystawą światową, nie było wolnego miejsca. Karczmarz natychmiast zażądał zapłaty za tydzień z góry.

„Peter” w Paryżu

Tak szybko zadbawszy o dach nad naszymi głowami, Wołodia zabrał nas na obiad do jakiejś polskiej stołówki ulokowanej w małej uliczce w pobliżu Akademii Nauk. Znowu znaleźliśmy się w rosyjskojęzycznym środowisku. Za niewielką opłatą karmiono nas obiadami mniej więcej takimi samymi, jak w polskiej stołówce w Petersburgu na ulicy Michajłowskiej. Ani Kadka, ani ja nie przepadalimy za francuskimi kulinariami, więc najczęściej stołowaliśmy się w tej jadalni. Ciągnęło nas do barszczu.

Nic dziwnego, że kuchnia francuska w tamtym czasie nam nie przypadła do gustu, bo mogliśmy chodzić tylko do takich restauracji, gdzie cały posiłek z napiwkiem kosztował maksymalnie półtora franka.



Widok na Passage du Caire od strony Rue d'Alexandrie 33. Fot. (autochrom) Georges Chevalier. Źródło: Musée départemental Albert-Kahn, <https://albert-kahn.hauts-de-seine.fr>

W tym czasie, jeśli nie w modzie, to w użyciu, były papierowe kołnierzyki z mankietami. Kelnerzy we francuskim „pas-brzuchu” do swoich podniszczonych ubrań nosili takie papierowe kołnierzyki.

Wino nas nie kusiło, więc pożywny barszcz z mięsem był zarówno „na nasz gust i brzuch”, jak i na naszą kieszeń. Na piechotę pokonywaliśmy wtedy wielkie odległości i tylko dzięki tej polskiej stołówce mogliśmy się utrzymać „w dobrej kondycji”.

Dzielnica Łacińska w godzinach wieczornych

Z jadalni przeszliśmy w głąb Dzielnicy Łacińskiej do kawiarni na bulwarze Saint-Germain, niedaleko Saint-Michel. Widok paryskiej ulicy nas oszołomił.

Cała jezdnia zapchana była gęstą masą fiaków, furmanek, jedno- i dwupiętrowych omnibusów jadących jeden za drugim. Wszystko oczywiście było zaprężone w konie. Poboczem przesuwali się wózki ręczne ciągnięte przez ludzi. Około godziny siódmej wieczorem ruch był tak intensywny, że mnóstwo pojazdów poruszało się niewiele szybciej niż piechurzy. Trotuary były pełne ludzi, podobnie jak jezdnie – powozów. Wszędzie walały się drobne ogłoszenia, duże afisze, różne gazety i czasopisma. Piękne i eleganckie miasto, przypominające mi Odesę, robiło jednak niechlujne wrażenie. Szczególnie zaskoczyły nas liczne pisuary, żelaznymi przegrodami zakrywające tylko środek ciała mężczyzn, którzy z nich korzystali, a których skupione lub zwrócone na siebie nawzajem twarze i rozstawione nogi mogli zobaczyć wszyscy przechodnie.



Publiczny pisuar w Paryżu przy Chaussée du Maine. Fot. Charles Marville. Źródło: <https://www.slv.vic.gov.au>

Usiedliśmy w kawiarni przy stoliku wystawionym na chodnik. Wkrótce kawiarnia zapełniła się gośćmi. Z upływem kwadransów liczba przechodniów na ulicy nie zmniejszała się, ale zmieniał się skład i charakter tej grupy. Po zachodzie słońca kawiarnia rozbłysła rzęsimym nocnym oświetleniem. Na chodnikach i przy stolikach pojawiło się bardzo dużo kobiet w długich spódnicach ciągnących się po ziemi i ogromnych kapeluszach (moda tamtych czasów).

Grupa midinetek

Przy ulicy Lafayette, w pobliżu stacji metra Cadet, na placu znajduje się pomnik midinetek: idące ramię w ramię cztery młode kobiety różnego wzrostu i reprezentujące różne typy francuskiej urody, z radosnymi, roześmianymi twarzami, jakby odurzone młodością z nadmiaru wesołości. Wszystkie ubrane są w długie suknie i ogromne kapelusze z szerokim rondem ozdobione kwiatami. Grupa ta z niezwykłą dokładnością oddaje typowy tłum kobiet z tamtych czasów w godzinach wieczornych na chodnikach dużej ulicy Dzielnicy Łacińskiej.



Pomnik midinetek autorstwa Juliana Lorieux na paryskim placu Montholon. Fot. Sari Gustafsson. Źródło: Museovirasto, <https://museovirasto.finna.fi>

Pierwsze rozczarowania

Na przyjacielskiej pogawędce wesoło upływał nam pierwszy paryski wieczór w kawiarni na Saint-Germain. Ulice Dzielnicy Łacińskiej wciąż były zatłoczone, ale spacerowały głównie kobiety.

Jeszcze zmęczeni długą drogą, po północy zapłaciliśmy i ruszyliśmy do naszego hotelu. Idąc w półmroku, nagle ujrzelśmy gęsty tłum. Gdy się do niego zbliżyliśmy, zobaczyliśmy, że są to same kobiety, w liczbie około stu, stojące wokół drzwi piekarni. Wołodia wyjaśnił nam, że to damy półświatka, tak liczne w owym czasie w Paryżu. Stały milcząco w kolejce po chleb, czekając, aż piekarz otworzy swój sklepik (w tym czasie w Paryżu nocne piekarnie otwierano około pierwszej w nocy). Idąc do naszego hotelu, kilkakrotnie natknęliśmy się na podobny tłum cicho stojących kobiet w długich sukniach i dużych kapeluszach. Nie wiedzieliśmy, czy dziwić się liczbie ofiar temperamentu społeczeństwa, czy też systemowi społecznemu republikańskiej Francji. Kawaleczek chleba na kolację to bardzo skromna dola dla dziewcząt w rozkwicie wieku!

To było nasze pierwsze moralne rozczarowanie. System republikański pokazał swoje prawdziwe „demokratyczne” oblicze.

Minęło pół wieku, ale nie mogę zapomnieć o tej społecznej tragedii. Nawet Kadka, zazwyczaj kipiący wesołością, zamilkł wobec obraźliwej nędzy setek młodych Francuzek.

„Prima nox”

Przybywszy do naszego pokoju, mocno już zmęczeni, natychmiast się położyliśmy i zapadliśmy w sen. Lecz niestety, w niecały kwadrans później zostaliśmy zaatakowani przez całe oddziały żarłocznych robaków. Biegały po poduszkach i prześcieradłach, a nasze wysiłki unicestwienia szkodników okazały się nic niewarte. Niektóre owady zabiliśmy, lecz na ich miejsce przypływały wciąż nowe. Nie było mowy o ponownym zaśnięciu. Zaczęliśmy rozumieć, skąd te girlandy podartych tapet, ślady bitew z owadami naszych poprzedników. Ubraliśmy się, spakowaliśmy rzeczy i do rana siedzieliśmy w świetle na krzesłach.

Rano z pomocą Wołodii Kuliczenko poszliśmy wyjaśnić sytuację właścicielowi. W hotelu nie było innego wolnego pokoju. Bezwzględnie wyruszyliśmy na poszukiwanie nowego schronienia i z trudem znaleźliśmy rodzinny hotel przy Rue des Écoles, gdzie na szóstym piętrze, oczywiście bez windy (w tamtym czasie nie było ich tu jeszcze), zajęliśmy na mansardzie pokój z widokiem na dach. Jednak karczmarz o czerwonej twarzy, przyjaciel Wołodii, nie zwrócił nam kwoty, którą zapłaciliśmy za tydzień pobytu.



Podwórze przy rue Mabillon 8, 1914 r. Fot. (autochrom) Stéphane Passet. Źródło: Musée départemental Albert-Kahn, <https://albert-kahn.hauts-de-seine.fr>

4. WIEŻA EIFFLA

Pierwszą sprawą, na której nam zależało, było zobaczyć wieżę Eiffla, której wcześniej nie widzieliśmy nawet z daleka. Wsiadliśmy do omnibusu i pojechaliśmy na Pole Marsowe, pod wieżę Eiffla, gdzie znajdowały się pawilony wystawowe.

Chociaż w tym czasie wieża nie była już nowością, w dalszym ciągu budziła podziw na całym świecie. Jej wizerunek wciąż powielano i sprzedawano w postaci zabawek i artykułów dekoracyjnych. Należy jednak podkreślić, że wieża Eiffla nadal była gwoździem programu wystawy w 1900 roku.

Z daleka i z bliska

Już z daleka dostrzegliśmy jej wierzchołek na tle nieba. Jej ogrom nas zafascynował. Aż trudno było uwierzyć, że to naprawdę dzieło ludzkich rąk sięgające chmur unoszących się na



Globe Céleste i Wieża Eiffla, widok od strony Sekwany podczas Wystawy Światowej w Paryżu w 1900r. Źródło: Exposition universelle de 1900. Photographes de ND Phot, Paris 1900



Widok na wieżę Eiffla i teren Wystawy Światowej z przeciwnego brzegu Sekwany. Źródło: Library of Congress, <https://loc.gov>

nieboskłonie. Teraz wszystko to wydaje się zwyczajne, wtedy uderzało swoim rozmachem. Skierowaliśmy się do wejścia i weszliśmy na tereny wystawowe przez jakąś boczną bramę. Wszystko wydawało się niezwykle, piękne i eleganckie.

Ludzi było tak dużo, że w niektórych miejscach ciężko było przepchnąć się przez tłum. Podążaliśmy do centrum, do podnóża wieży Eiffla. Podchodziliśmy do niej z ekscytacją. Jednak im bardziej się zbliżaliśmy, tym mniej przytłaczająca zdawała się nam jej wysokość. Kiedy znaleźliśmy się pod łukami jej stóp, poczuliśmy się jak w dużej szopie i nagle przestała nas zaskakiwać.

Z daleka, szczególnie ze sporej odległości, wydawała się cudem świata i natarczywie prześladowała nas swoim czubkiem, jak żyrafa ze swoją małą główką, wyglądając zza rogu tego czy innego domu – to czule, to ze złością, to w oparach chmur lub mgły, to w blasku słońca. Jak wszechobecne oko ludzkiego sumienia patrzyła na nas, czasem aż do irytacji.

Piechotą na pierwsze piętro

Natychmiast ogarnęło nas pragnienie, żeby się na nią wspiąć, żeby wnieść się na tak dużą wysokość, w dodatku ponad sam Paryż. Nie pamiętam z jakiego powodu, ale za pierwszym razem nie dane nam było dotrzeć na jej szczyt. Postanowiliśmy wdrapać się przynajmniej na pierwsze piętro, gdzie wpuszczano każdego chętnego do pieszej wędrówki po stromych schodach.

Wiedziałem dobrze, jak trudne to zadanie nawet na stosunkowo małej wysokości, ponieważ jako chłopiec często wspinałem się na minaret meczetu Departamentu Marynarki Wojennej w Mikołajowie, stojący niedaleko naszego domu, w najwyższym



Widok spod Wieży Eiffla na teren Wystawy Światowej. Fot. Sigurd Curman.
Źródło: Tekniska museet, <https://digitaltmuseum.se>



Pole Marsowe podczas Wystawy Światowej w 1900 r. w Paryżu.
Źródło: Library of Congress, <https://www.loc.gov>

punkcie miasta. Mułła dobrze znał mojego ojca i dziadka i pozwalał nam wdrapywać się na minaret w te dni, kiedy nie odbywały się nabożeństwa dla muzułmańskich marynarzy. Wspinaczka przychodziła nam z łatwością, ale czasami w trakcie schodzenia po spiralnych schodach od wysiłku skurcz nagle chwycił za łydki i trzeba było siedzieć w półmroku minaretu na schodach.

Uprzedziłem Kadkę przed taką przypadłością, grożącą nam tym bardziej, że wysokość pierwszego piętra była co najmniej dwukrotnie większa niż minaretu. Nie mogliśmy jednak oprzeć się pokusie i od razu ruszyliśmy do góry. Zaraz wśród masy

naszych towarzyszy, którzy tak jak my z uśmiechem i śmiechem, weszli na żelazne schody, wielu zaczęło zostawać w tyle i zderzać się z tymi, którzy pełzli z powrotem z zaniepokojonymi twarzami. Wszyscy ci wycofujący się ludzie patrzyli ze strachem nie tyle na schody, ile jakby w bok.

Dopiero wtedy zauważyliśmy, że schody biegną między żelaznymi belkami nogi ażurowej wieży i zewsząd widać było całe Pole Marsowe i ziemię pod nami, a po niej poruszających się ludzi. To było przerażające. Wydawało się, że wystarczy jeden nieostrożny ruch i możesz wlecieć do środka. Przewyciężając strach, którym zarazili nas wycofujący się, poszliśmy jednak naprzód. Im wyżej się wspinaliśmy, tym mniej ludzi widzieliśmy ponad nami. Wszyscy wydawali się być liliputami. Coraz mniej nam dokuczał lęk wysokości.

Na pierwszym piętrze

Na pierwszym piętrze zobaczyliśmy rzędy sklepików i punktów usługowych. Przechadzając się po tym swoistym placu targowym, można było zapomnieć, że znajdujemy się na sporiej wysokości, ale kiedy spojrzeliśmy w bok za barierkę albo w środek pod wieżą, naszym oczom ukazywał się bardzo ciekawy obraz: mogliśmy zobaczyć, jak wiele osób zwiedzało wystawę, jak urokliwa i elegancka była sama wystawa z ulicą Narodów – Rue des Nations, i jak pięknie prezentowały się Sekwana i Trocadéro.

Podczas schodzenia kilka razy złapał nas skurcz. Siadaliśmy na schodach i odpoczywaliśmy, a potem znowu ostrożnie ruszaliśmy w dół, starając się odpędzić lęk wysokości i nie nadwyżyć nóg.

Wjazd windą

Wjazd na najwyższe piętro wieży w tamtych czasach wymagał załatwienia pewnych formalności, o których nie mieliśmy pojęcia. Podeszliśmy do budki, w której siedziała młoda paniienka wydająca bilety na przejazd, a ona zażądała od nas jakiegoś papieru. „Francuz” Kadka zaczął jej coś tłumaczyć, przy tym śmiejąc się tak zaraźliwie, że kasjerka, z początku naburmuszona, nie wytrzymała i mimowolnie się uśmiechnęła. Całkiem już pewny swego Kadka wyjął z kieszeni rosyjski paszport zagraniczny, otworzył ostatnią stronę i wskazując palcem na dwugłowego orła, odchylił głowę do tyłu i dławiąc się śmiechem, zaczął ją przekonywać:

– Dyplomaci! Dyplomaci!

Machnęła ręką i dała nam dwa bilety, i to bardzo tanio.

Wagonik windy początkowo nas zaskoczył: wydawał się być trochę koślawy. Wynikało to z faktu, że winda nie biegła pionowo w górę, ale (zwłaszcza w niższych partiach) wzdłuż wklęsłej zakrzywionej linii, wewnątrz nogi wieży Eiffla.

Kiedy w zatłoczonym wagonie wielkości tramwaju ruszyliśmy do góry, zrobiło to na nas ogromne wrażenie. Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyliśmy maszynę wyciągową, po raz



Widok z I poziomu Wieży Eiffla na Pole Marsowe podczas Wystawy Światowej w 1900 r. Fot. Louis-Antonin Neurdein. Źródło: Muzeum Albertina, <https://sammlungenonline.albertina.at/>

pierwszy my sami, oderwani od ziemi, wzbiliśmy się w górę, a pod nami pozostało tętniące życiem ludzkie mrowisko, tak wyraźnie widoczne przez kratownicę wieży Eiffla. Po ponownym zwiedzeniu pierwszego piętra kontynuowaliśmy jazdę windą. Im wyżej się wznosiliśmy, tym mniejsze wrażenie robiła na nas wysokość, a raczej tym bardziej zanikał lub słabł lęk wysokości.

Na drugim piętrze

Na drugim piętrze wieży zobaczyliśmy podobne sklepiki, jak piętro niżej, ale mniejsze. Widok na Wystawę Paryską stał się jeszcze szerszy.

Po raz pierwszy w życiu ja, mieszkaniec równiny, wspiąłem się na wysokość w tamtych czasach dostępną tylko dla ptaków podniebnych. Czy można się było tym wszystkim nie zadziwić, nie zachwycać? Zresztą mieliśmy dopiero po 23 lata!

Wyżej...

Pomiędzy drugim a trzecim piętrem wieży znajdowało się półpiętro, tam chyba przesiadaliśmy się do mniejszego wagonu. Kratownica nogi wieży została daleko pod nami i wydawało nam się, że lecimy prosto w górę na grzbiecie dużego ptaka.

Jestem pewien, że podobne uczucie przeżywają ludzie latający samolotem. Mieliśmy przedsmak, że tak powiem, tej przyjemności pół wieku temu. W każdym razie trzy lata wcześniej niż bracia Wright. W 1903 r. bracia wzniesli się na jeden metr, a my w 1900 r. – od razu na 300 metrów.

Dlatego do dziś przechowuję w pamięci moje pierwsze w życiu wejście na wieżę Eiffla. Dla mnie była to zapowiedź nadchodzącej ery aeronautyki.

Na górze

Szczyt wieży otoczony był ogromnym balkonem, pośrodku którego znajdowała się duża zadaszona sala, ale nie było tam żadnych straganów. Paryż pod nami nie wydawał się już miastem, lecz planem Paryża i był widoczny w całości aż po peryferie.

Wystawa tam w dole wyglądała jak zabawka, a ludziki pod nami – jak mrówki, prawie nieruchome.

Jeszcze wyżej...

Ktoś nam powiedział, że po spiralnych schodach można wspiąć się jeszcze wyżej, na dach, pod samą flagę, ale że tam nie wpuszczają. To też się udało pomysłowemu Kadce – coś komuś wsunął i już droga była wolna.

Poprowadzono nas po spiralnych schodach i wspięliśmy się na sam szczyt wieży Eiffla, tuż pod maszt flagi. Wokół opasłego słupa urządzono wąski, okrągły balkon z prostymi żelaznymi poręczami. Balkon mógł pomieścić sześć do ośmiu osób stojących w kółeczko. Było tak ciasno, że aby przejść odrobinę dalej, musieliśmy się przeciskać jeden przez drugiego.

Pod flagą Republiki

Kiedy stoisz na tym balkonie, nie widzisz wieży pod sobą i wydaje ci się, że ten balkon wisi lub pływa w powietrzu, a bardzo głęboko pod tobą rozpościera się ogromne miasto, doskonale widoczne aż po same krańce. Za ostatnimi zabudowaniami w dal rozciągają się lasy i stępy. Kompletna iluzja lotu. Chociaż nigdy nie leciałem samolotem, jestem pewien, że Paryż tak właśnie musi ukazywać się aeronautom.

Wierzchołek wieży lekko się kołysał, czuliśmy to wyraźnie, mimo że pogoda nam dopisała. Mówią, że jesienią, przy złej pogodzie, to zjawisko jest tak ostro odczuwalne, że aż nieprzyjemne.

Kiedy, opierając się o balustradę balkonu, spoglądałem w dół i w dal, wrażenie wysokości całkowicie zniknęło i nie czułem żadnego strachu. Włożyłem nogę między kraty i znów Paryż wydał mi się nie miastem, lecz planem miasta. Wyglądało na to, że gdybym zrobił krok, nadepnąłbym na arkusz papieru i nic więcej.

To niesamowite, jak dziwnie było oderwać się od ziemi i jak łatwo było poczuć się wysoko nad nią. Najbardziej podobał nam się ten balkonik. Ociągaliśmy się, nie chcieliśmy stamtąd odchodzić.

Zostaliśmy wyprowadzeni... Za nami tworzyły się kolejki – wszyscy chcieli dostać się pod niebiosa.

Trójkolorowa francuska flaga na wieży Eiffla, która od dołu wydawała się tak mała, w rzeczywistości okazała się bardzo duża.

Droga w dół...

Rzucając pożegnalne spojrzenie na Paryż z wysokości nieba, nie pamiętaliśmy o jego grzesznej naturze. I dopiero kiedy zjeżdżaliśmy w dół, zdaliśmy sobie sprawę, że opuszczamy się w świat żalu, smutku i łez.

Podczas budowy wieży Eiffla zginęło 60 osób.

Niebo karze Ikara po dziś dzień. ■

*Tłumaczenie z języka rosyjskiego
Hanna Pilecka*